Rok I. Listopad 1898 r. Nr. 5.



Powściągliwość i Praca

Organ Towarzystwa

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC.

Prenumerata roczna wynosi:

W Austro-Węgrzech . . 1·20 kor. W Ameryce . . . . . ½ dolara.
W Niemczech . . . . 1·40 mrk. W Rosyi . . . . . . ½ rubla.
W innych krajach 2 franki.

Dla Członków Towarzystwa „Powściągliwość i Praca" za darmo.

Wszelkie przesyłki i listy pieniężne prosimy adresować:
STANISŁAW ORLEMBA
kierownik Zakładu wychowawczego w Miejscu Piastowem.

Z PRZEMÓWIEŃ WIECZORNYCH.

Dzisiaj mówić będę „o źródłach wiary katolickiej". Jedna tylko wiara jest prawdziwą, a tą jest wiara katolicka. Ona zaś zawartą jest w Piśmie świętem i w Podaniu. Pismem świętem nazywamy zbiór ksiąg napisanych przez mężów świętych z natchnienia Ducha Świętego, które Kościół za natchnione i Boskie uznał. Przez natchnienie zaś rozumiemy wpływ łaski Bożej na pisarza świętego, przez który Pan Bóg pobudza go do pisania, podczas tej pracy oświeca, nad nim czuwa i tak nim kieruje, że zbłądzić nie może i pisze jedynie to, co według woli Bożej. Natchnienie to ustało ze śmiercią Apostołów, bo i objawienie publiczne z ich śmiercią się skończyło. Bóg jest zatem właściwym twórcą Pisma świętego. Przedstawienie zaś rzeczy i sposób wysłowienia rozmaity, zależy od usposobienia osobistego pisarzów świętych. A ponieważ w Piśmie świętem „są niektóre rzeczy trudne ku wyrozumieniu" (św. Piotr II. 3.), przeto sobór Trydencki stanowi, „żeby nikt nie poważył się tłómaczyć Pisma świętego w rzeczach wiary i moralności należących do zasad nauki chrześciańskiej, polegając na własnej mądrości i naginając Pismo święte do własnych zapatrywań, a odrzucając to znaczenie, które Matka święta Kościół uznawał i uznaje za prawdziwe, do Kościoła bowiem należy wyrokować o prawdziwem znaczeniu Pisma świętego i wyjaśniać je; nie wolno też nikomu tłómaczyć go w sposób niezgodny z jednomyślnem zdaniem Ojców". Oto Pismo święte stanowi jedno źródło, skąd Kościół katolicki czerpie nieomylnie naukę objawioną. A drugiem źródłem zaś jest Podanie święte, które „z równem pobożności uczuciem i uszanowaniem" (sobór Trydencki) przyjmować mamy.

Podanie jest to zbiór prawd, odnoszących się do wiary i obyczajów ofiarowanych Kościołowi ustnie przez Chrystusa Pana i Apostołów, w Piśmie zaś świętem albo nie wyrażonych wcale, albo też nie dosyć wyraźnie. Chrystus Pan ustnie ogłaszał naukę Swoją. Powiedział też do Apostołów: „Idąc nauczajcie wszystkie narody, nauczając je chować, com wam kolwiek przykazał". Podanie tedy Boskie było pierwej, aniżeli Pismo święte. Są liczne prawdy wiary, które Pismo święte pomija milczeniem, lub nie dość jasno wyraża. Takiemi prawdami są: ważność chrztu świętego sprawowanego przez heretyków, natchnienie Pisma świętego, ofiara święta za zmarłych i wiele innych.

Podanie Boskie jest słowem samego Boga, a zatem ma tę samą powagę, jaką ma Pismo święte. Albowiem upomina św. Paweł wiernych: „Trzymajcie podania którycheście się nauczyli, choć przez mowę, choć przez list nasz".

Sposoby przekazania Podania Boskiego są wielorakie, a zaś najprzedniejsze są: 1) Orzeczenia soborów powszechnych; 2) składy wiary; 3) liturgia święta, w której wiara wyraża się zewnętrznie w obrzędach i 4) Pisma Ojców i Doktorów Kościoła. Właśnie te ostatnie zasługują na szczególniejszą uwagę, bo w księgach tych świętych autorów mieści się

całe Podanie, i na zdania ich powołują się sobory w swoich orzeczeniach.

Ojcami Kościoła nazywamy tych mężów, którzy odznaczali się wielką nauką, świętością życia, żyli w pierwszych wiekach po Chrystusie i ten tytuł od Kościoła otrzymali. Zaś znamienne cechy Doktorów Kościoła są: żeby należeli do stanu duchownego i żeby odznaczali się wysoką nauką, wielką świątobliwością życia i zaliczeni byli w poczet Świętych; żeby wyjaśniali zasady wiary w dziełach swoich i bronili takowych, a nakoniec, żeby ten najszczytniejszy tytuł Doktora Kościoła przyznany im został przez Namiestnika Chrystusowego.

Rzeczą bowiem Kościoła jest strzedz nauki objawionej. I on też orzeka, którzy mężowie są wiernymi świadkami i niepodejrzanymi nauczycielami wiary świętej. Tak na soborach powszechnych albo przez papieży bywają tacy mianowani jako Ojcowie Kościoła. Mówiąc o pismach Ojców, trzeba odróżnić ich badania odnoszące się do nauk świeckich, od tych wiadomości, które nam podają jako stróże wiary Chrystusowej i członkowie Kościoła nauczającego. Kiedy zaś piszą o naukach świeckich, wypowiadają tylko osobiste swoje zapatrywania, albo też powtarzają zdania badaczy świeckich a więc nie domagają się od nas wiary jako świadkowie Podania świętego. Ale i w rzeczach należących do wiary, nie można przyznać każdemu z osobna takiej powagi, jaką posiadają wyroki soborów powszechnych. Tylko jednozgodne świadectwo Ojców w rzeczach wiary i moralności jest nie wątpliwym dowodem Podania świętego. Mówimy tu o jednozgodności w znaczeniu moralnem, to znaczy, że wyraźna nauka jednego nie spotyka się z zaprzeczeniami ze strony innych. I tak, gdy święty Cypryan nauczał, iż ludzi ważnie ochrzczonych przez heretyków, trzeba chrzcić na nowo: Papież i inni biskupi odrzucili natychmiast to zdanie.

Także jednozgodna nauka Doktorów i teologów w rzeczach wiary i moralności jest pewnym znakiem Podania Boskiego i nauką samego Kościoła, który nie może się mylić, ani też pozwolić na to, żeby we wszystkich jego szkołach uczono fałszywie; natenczas na niego spadałaby wina, że milczeniem swojem zatwierdzał błędy.

Pomiędzy Doktorami odznacza się św. Tomasz z Akwinu wychwalony przez Stolicę św. i wszystkich teologów. Ale jakkolwiek powaga św. Tomasza jest wielką, przecież nie jest on nieomylnym. Więc nie należy sądzić, że jego zdanie rozstrzyga wszystkie spory.

Źle robią ci, którzy uniesieni zbytnim zapałem patryotycznym poetów i świeckich pisarzy polskich stawiają w rzeczach wiary wyżej ponad Doktorów Kościoła. To jest tylko prawdą, że ogół świeckich klasyków polskich jest więcej przejęty duchem katolickim, aniżeli ogół pisarzów świeckich innych narodów. Raczej prośmy Pana Boga, aby i z naszego narodu wyszli kiedyś mężowie święci a oraz uczeni w rzeczach Bożych, podobni do świętego Tomasza z Akwinu, św. Alfonsa Ligurego i innych Doktorów Kościoła, dotąd bowiem niestety nie wydali Polacy ani jednego Doktora Kościoła.

ORKIESTRA ZAKŁADU W MIEJSCU PIASTOWEM.

Razu pewnego jakiś myśliwy przybył do świętego Jana, który w tym czasie właśnie bawił się ptaszkiem i okazał zdziwienie z tego powodu, iż osoba tak święta, zamiast się modlić lub zająć jaką inną pobożną sprawą, oddaje się tak płochej rozrywce. Starzec nic nie odpowiedział na to, tylko poprosił strzelca, aby łuk, który trzymał na ramieniu naciągnął, i postawił przy ścianie. Ten, zdziwiony tem żądaniem zrobił Świętemu uwagę, że cięciwa mogłaby pęknąć, zostając dłuższy czas w naprężeniu; wówczas Jan święty dał mu poznać, iż taksamo mogłoby się stać i z ludźmi, gdyby wciąż, bez odpoczynku zajmowali się pobożnemi praktykami; umysł niczem nie odświeżany, zużyłby się w końcu.

I w naszym Zakładzie wszystko stanowi **powściągliwość, praca i modlitwa**, która sama przez się z tamtych dwóch wypływa; gdyby nie było żadnej rozrywki, młodzież w końcu znużona ciągłem czuwaniem, zaczęłaby sama szukać sobie rozrywek nie bacząc na to, czy byłyby one godziwe, czy nie. Otóż ażeby temu zapobiedz, została zaprowadzoną w zakładzie wychowawczym w Miejscu Piastowem muzyka, która — jeżeli, rozumie się, jej dźwięki tchną religijnością — rozpędza nawet poniekąd pokusy do złego pobudzające, czego daje nam przykład Pismo święte w starym testamencie, gdy mówi o Dawidzie, grającym na arfie dla rozpędzenia złych myśli Saula. Drugim powodem założenia orkiestry w Zakładzie naszym jest to, że czy to dzieci, czy młodzieńcy, czy w końcu starsi, przyzwyczajeni do ciągłej pracy, która zajmując nietylko ich ciało ale i umysł, nie daje im czasu do grzeszenia, gdy przyjdzie jakieś święto, a czasem nawet dwa i trzy dni razem się zejdą, w których ręcznie nie pracują, to nie przyzwyczaiwszy się jeszcze do ciągłej modlitwy, nie wiedzą co mają robić z czasem, czem się zająć, włóczą się z kąta w kąt i próżnują, przez co nasuwają się im różnorodne myśli, między któremi znajdzie się też dosyć złych, którym, nie mając dosyć siły, ulegają w końcu. Skutecznem



(Odbitka z fotogr. d. 8 sierpnia 1898 r.)

ORKIESTRA ZAKŁADU w MIEJSCU PIASTOWEM.

więc i bardzo przyjemnem lekarstwem na to, jest u nas muzyka.

Dlaczego jest tylu pijaków, szczególniej w klasie ubogiej, mianowicie między robotnikami i ludem wiejskim? Oto w niedziele i święta nie mają co robić, włóczą się po karczmach i w szynkach przesiadują, gdzie nie wstrzymują się od picia, pomijając już inne grzechy, które tam popełniają.

Zadaniem tedy muzyki w naszych Zakładach jest właśnie powstrzymywanie młodzieży od przestępowania prawa Boskiego, z czego się doskonale wywiązuje. Tylko, ażeby osiągnąć z niej takie skutki, powinna być orkiestra dobra, t. j. nie drażniąca swym fałszem ucha i nie powinno się grać takich utworów, któreby powiększały tylko pokusy przez przypominanie młodzieży niewłaściwego tekstu, przywiązanego do nich, który nieraz obijał się o ich uszy, przed wstąpieniem do naszego domu.

W końcu, dlatego muzyka jest w naszym Zakładzie, iż **ks. Bosko**, *pod którego imieniem Zakład nasz został założony,* **zalecał ją i sam zakładał** w swych domach. Orkiestra, której wizerunek mamy przed sobą, została zaprowadzoną w Miejscu Piastowem roku 1895.

Było wtedy około 20 instrumentów muzycznych. Teraz liczy ona 35 członków, jak to widać z ryciny; tło do niej jest to samo, co i do odbitki umieszczonej w zeszłym numerze. Najśw. Marya Panna, Królowa Korony Polskiej, góruje nad całym wizerunkiem, za nią malatura, przedstawiająca męczeństwo świętego Stanisława. Jedna tylko rzecz została zmienioną a mianowicie: napis „Praca“ widać na drugiej balustradzie, czego w poprzedniej fotografii nie ma.

Z wycieczek naszej orkiestry.

Zadzwoniono i rozległo się w sypialni klaskanie w dłonie a potem przez asystenta wyrzeczone basowym głosem: „Benedicamus Domino!“ „Deo gratias“,*) Odpowiadam, zrywam się z łóżka na równe nogi i ubieram się; źle, myślę sobie, mamy grać w Krośnie pobudkę o godzinie 6-tej a tu już po czwartej; z pewnością spóźnimy się. Ubrałem się, jak mogłem najspieszniej i pędzę do kościoła z tą myślą, że chłopcy czekają już na mnie. Nie zawiodłem się; oni nie zaspali; klęczą wszyscy i odmawiają pacierze. Gdym wpadł do kościoła, wyszedł właśnie ks. Rektor z zakrystyi aby nas wykomunikować. Po Komunii św. odmówiłem z chłopcami różaniec, poczem zabraliśmy się do domu na śniadanie. Patrzę na zegarek, 5-ta. Z pewnością zajdziemy do Krosna na jaką 7 godzinę; milę iść, to nie żarty! Co powiedzą o nas? Ależ, ci Salezyanie punktualni!...

Natychmiast po śniadaniu chwyta każdy za swój instrument i w jednej chwili stoją już wszyscy w komplecie na pogotowiu. Zakomenderowano: oddział marsz! i szybki chód miarowy oznajmił, iż jesteśmy już w drodze. Pędzimy gościńcem. Jest nas 35. wszyscy idą równym krokiem w szeregach. Zdaleka orkiestra wygląda jakby to była jaka przyboczna gwardya cesarska, albo straż ogniowa w galowych mundurach, tak świetnie przedstawiają się uniformy. Wschodzące słońce przegląda się w instrumentach, które się tak świecą od niego, iż nie można wzroku na nich utrzymać; tak błyszczą, że się zdają być mosiężnymi kaskami i karabinami żołnierzy, gotowych do boju. Wkoło na widnokręgu ani jedna chmurka nie bruka czystego lazuru nieba, ślicznie się dzień zapowiada; słychać wesołe świegotanie ptasząt a szczególniej skowronka. Prawdziwy poranek wiosenny.

Spieszymy z możliwą szybkością; błyśniemy trąbami na wzgórzu, to znów chowamy się w dolinie. Nareszcie wychodzimy na równinę; Krosno doskonale widać. Myśli sobie każdy, że już dawno oczekują nas na miejscu, to też wzrok nasz wciąż jest utkwiony w miasto; nie czekaliśmy długo, dzieliła nas bowiem od tegoż odległość pięciuset mniej więcej kroków, gdy ukazało się na gościńcu grono konnych rycerzy a za nimi straż przyboczna, którą oznajmiły nam chorągiewki, powiewające nad czerwonemi konfederatkami. Zbliżyliśmy się do siebie — to sokoli wyjechali na nasze spotkanie. Straż polska w ubiorach włościańskich otoczyła nas, a sokoli na koniach otwierali pochód; w takim porządku maszerowaliśmy przez całe miasto. Przed pierwszymi jeszcze domami dałem znak i zagrały trąby. Wkoło panowała dotychczas najzupełniejsza cisza; dźwięki rozeszły się daleko po równinie, chyżo biegły po rosie i cichły za sąsiedniemi pagórkami. Wchodzimy w wązką ulicę wiodącą na rynek; tutaj zagrzmiały trąby marsza Sokolskiego, a wchodząc na rynek, trio: „Ospały i gnuśny cały ten świat“ i t. d. Teraz dopiero całe miasto zostało zaalarmowane.

Opuściłem orkiestrę i zajrzałem do kościoła OO. Franciszkanów, koło którego, skończywszy już marsza, przechodziliśmy. Owiał mnie zupełnie inny duch; odprawiano właśnie ciche msze święte w białych kolorach, a na chórze grał braciszek na organach i śpiewał godzinki. Jak tu błogo! jaki spokój niczem nie zamącony, jaka tajemnicza cisza tkwi w tych gotyckich murach, choć głos organów obija się o nie — znać, że nieznaną jest tu troska o te znikome marności świata; pomodliłem się gorąco, bo

*) „Błogosławmy Panu!“ „Bogu dzięki“.

jakżeż tu się nie modlić, kiedy Jezus Chrystus i całe otoczenie ciągnie do tego. Wyrwałem się wreszcie i wybiegam z kościoła niespokojny o to, co tam chłopcy robią. Pędzę na drugą stronę miasta, prowadzony odgłosem naszego bębna, który już zdala dochodzi do mych uszu; za chwilę jestem przy muzyce. Spotkałem się z nią na wałach, prowadzących do kolei, ponad Wisłokiem. Spoglądam w jego nurty; pieni się i bije z wściekłością o brzegi, jak gdyby gniewał się na nas iż go tak rano budzimy, przerywając mu wraz ze wschodem słońca poranną ciszę. Tu zrobiliśmy krótki spoczynek, a potem znów przez miasto z marszami, przerywanymi hukiem salw moździerzowych, w tej ulicy marsz Wagnera, w tamtej Radeckiego, gdzieindziej Kryształowa czasza i t. p. Przechodzimy koło kościoła Kapucyńskiego; nie mogłem oprzeć się chęci odwiedzenia go. Wchodzę: ach! co za różnica; na ulicach—ruch niezwykły, hałas trąb, przeraźliwe strzały, rozdzierające bezustannie powietrze; w kościele—katafal czarnym kirem okryty... cała atmosfera tchnie żałobą, mury ciemne, ksiądz odprawia mszę św. w czarnym kolorze i śpiewa smutnym głosem, organy płaczą. Nabożeństwo żałobne—za tego, którego dziś uroczystość obchodzą, za Mickiewicza. Zostałem jak przykuty do miejsca i dopiero gdy doszedł mnie dochodzący zdala odgłos orkiestry, ocuciłem się i przypomniałem sobie, gdzie się znajduję; padłem na kolana, a pomodliwszy się trochę wyszedłem z tego świętego przybytku, kierując swe kroki w stronę magistratu, aby tam przygotować dla mych chłopców przyjęcie. Zaraz na progu przywitał mię bardzo grzecznie instruktor i wprowadził do dość obszernego pokoju przygotowanego dla nas, zapewniając, że już wszystko jest gotowe; spokojny tedy co do mych towarzyszy, wyjrzałem przez okno na niewielkie podwórze magistratu napełnione w tej chwili strażą ogniową, przygotowującą się do dzisiejszej uroczystości; za kilka minut zjawiła się orkiestra.

O godzinie dziesiątej udaliśmy się na Rynek przybrany świątecznie w chorągwie i zapełniony już ciekawymi. Stąd ma się odbyć pochód do parafialnego kościoła na uroczyste nabożeństwo, rozpoczynające tę część programu.

Zbiera się całe miasto i okolica, każdy ubrany odświętnie i przejęty dzisiejszem świętem narodowem. My otwieramy pochód, za nami wiatr igra ze sztandarami straży ogniowej w galowych mundurach, dalej powiewają chorągwie szkolne i dobrze wyszywane proporce cechów, w końcu zamykają szeregi przedstawiciele okolicznych wsi, Rada miejska i inteligencya z miasta i okolicy. Zabrzmiały poważnie dźwięki marsza narodowego. Ruszamy; niezadługo znaleźliśmy się w wspaniale przybranym kościele, na środku którego z pośród mnóstwa kwiatów i czerwono-białych chorągwi wynurza się popiersie nietylko króla poetów, ale nawet i wszystkich pisarzów polskich. Po solennie odprawionej Mszy św. z asystą i wzruszającem kazaniu w tymże samym porządku, tylko, że już z wykonanym, rozumie się, przez nas wesołym marszem Koburgskim, tego dawnego walecznego pułku Jabłonowskich, udaliśmy się na plac szkolny, gdzie się odbyły śpiewy i przemowy, uzupełniające tę część programu, zakończoną przez nas pieśnią legionów Dąbrowskiego: „Jeszcze Polska nie zginęła!“.

Za chwilę plac się opróżnił, wszyscy spieszyli się posilić; myśmy też nie czekali, ale zaraz po przegraniu hymnu udaliśmy się na obiad, tembardziej, że upał był nieznośny. Z przyjemnością znaleźliśmy się w cienistym pokoju. Po obiedzie wyszliśmy na wizytę Przen. Sakr., jak to zwykliśmy czynić u siebie w domu. Jedni poszli do kościoła OO. Kapucynów, inni do Fary, ja zaś do OO. Franciszkanów, bo ten kościół ciągnął mnie do siebie najwięcej. Po zwykłych modlitwach przed Przen. Sakr. zająłem się oglądaniem pamiątek, z których najcenniejszą może jest kaplica książąt oświęcimskich; wyłożona jest cała wypukłorzeźbami, nawet kopuła nie jest wolną od ślicznie rzeźbionych liści. W ołtarzu znajduje się starożytny zabytek sztuki malarskiej, doskonale zachowany jeszcze obraz przedstawiający wskrzeszenie Piotrowiny. Pod kaplicą znajdują się groby fundatorów tejże: kilka trumien z wierzchu oszklonych. Czas nie oszczędził ani ścian podziemia, ani trumien, a tembardziej ciał. Ściany zczerniałe i przykryte grubą warstwą kurzu, w otworach w nich zrobionych walają się, jak głosi legenda, szczątki kości jakiegoś olbrzyma, w trumnach zaś na wpół zbutwiałych można zobaczyć tylko trochę prochu, ułożonego na kształt ludzkich postaci. W całem podziemiu jest tak ponuro i tak przykra woń się rozchodzi, iż nie podobna zostać tam dłużej; co za różnica między wesołą, jasną, marmurami wykładaną kaplicą znajdującą się na wierzchu, a tym ciemnym i smrodliwym grobem; tu otwierają się oczy na znikomość tego życia!

Wyszedłem z kościoła i wziąwszy chłopców ze sobą podążyłem do Fary, zbudowanej w stylu odrodzenia, na której czas pozostawił już ślady swych zębów. Weszliśmy na wieżę i kopułę bizantyjską, w której umieszczone są owe dzwony, których głos rozchodzi się niemal po całej Polsce. Największy z nich Urban, ma około 2 metrów średnicy u spodu. Można się na nim dopatrzeć napisów i herbów jakichś, które jednakże bardzo trudno odczytać i rozpoznać, z powodu bardzo grubej warstwy kurzu osiadłej na nim i trudnego doń przystępu. Historya tych dzwo-

nów jest taka: Oto jeden z krośnieńskich kupców, niejaki Porcyusz, w czasach gdy Krosno jeszcze świetnie stało i było jednym z potężniejszych grodów rzeczypospolitej, t. j. przed spustoszeniem go przez niewiernych, trudnił się sprzedażą wina; razu pewnego, zamiast zamówionego wina otrzymał z Węgier pełną beczkę złota a ponieważ był on bardzo pobożnym, jak to bywało w dawnych polskich czasach, a nikt nie zgłaszał się po złoto, ofiarował całą tę sumę Bogu, sprawiając za nią dzwony do parafialnego kościoła. Wchodzę na szczyt wieży. Pyszny widok roztacza się stąd. Łańcuch gór ze wszystkich stron otacza widnokrąg na kilka mil, w koło tak równe, jak gdyby zostało cyrklem narysowane; zdaje się, iż to kolosalny różaniec ułożył się z Beskidów; co kilka gór, występuje wyższa nad inne, niby większy paciorek: Ojcze Nasz. W tym kręgu widać wiele wsi i miasteczek; Miejsce Piastowe a szczególniej nasze domy górujące nad nim, doskonale widać. Wisłok wygląda, jakby jaka wstęga z rąbkiem urwistych wybrzeży, mieniąca się na słońcu wszystkiemi barwami tęczy.

Znowu powtarza się karkołomna podróż po ciemnych i wąziuteńkich schodach, mająca więcej niebezpieczeństwa połamania sobie kości, aniżeli pierwej, bo idziemy z góry na dół; wracamy do Magistratu. Tu zrobiła nam Straż ogniowa małą niespodziankę; oto spotkał nas zaszczyt honorowego pożegnania oddziału Straży ogniowej korczyńskiej, przybyłej do Krosna w celu uczestniczenia w uroczystości.

Gdy się chorągiew ich ukazała, odegraliśmy pieśń „Serdeczna Matko“, poczem, wyprzedziwszy oba oddziały, ponieważ krośnieński też odprowadzał swych kolegów, z marszami wyprowadziliśmy Straż za miasto, a potem w tymże porządku wróciliśmy z ich miejscowymi towarzyszami.

O godzinie czwartej daliśmy w miejskim ogrodzie koncert: marsz, walc, uwertura, w końcu pocztylion, wypełniły jego program.

Wieczorem gdy wybiła godzina ósma, rozpoczął się wspaniały pochód z jasnemi naftowemi pochodniami. Wyruszyliśmy z całym zapałem z Magistratu na Rynek ze światłem i hucznym marszem; zadudniało, zahuczało i naraz wszystko ucichło — stał się nieprzewidziany wypadek; oto pochodnia naftowa, świecąca nam w nuty zajęła się cała, zniżyła się na ziemię, została przysypana piaskiem zmieszanym ze słomą, i naraz ogarnęły nas ciemności egipskie, które jednakże nie długo trwały, bo za chwilę buchnął wielki płomień ze słomy, przykrywającej latarnię. Teraz dopiero straż ogniową ogarnęło przerażenie; rozpoczęło się gaszenie ognia! Akcyą ratunkową bardzo energicznie zajął się nasz gospodarz, pan instruktor Straży ogniowej; w jakiś czas udało się opanować ogień i przyprowadzić światło do porządku. Przerwanego marsza rozpoczęliśmy na nowo; huczy, grzmi jak przedtem, tylko każdy spogląda nieufnym wzrokiem z ukosa na pochodnię, żeby się znów coś podobnego się nie przydarzyło.

Pędzimy ulicami poprzedzani przez Sokołów, taksamo jak rano. Za chwilę pochód znalazł się na drugim końcu miasta. Prawie wszystkie okna w mieście były oświetlone, a w wielu z nich były wystawione portrety Mickiewicza, szczególniej u izraelitów, którzy drżeli na samo wspomnienienie iluminacyi, ponieważ podczas niej, okna ich zwykle bardzo wiele cierpią.

Wkoło nas snują się niezliczone tłumy; pogoda już nie dopisuje, ciemne ołowiane chmury zawisły nad nami; otaczały nas cienie nocy, bo światło z okien i naszych pochodni oświecało bardzo małą przestrzeń a do tego przyczyniały się do powiększenia ciemności ponure, smołą osmarowane okiennice, któremi były zatarasowane wystawy sklepów przed spodziewanym napadem choć to nie na wiele się przydało, bo znaleźli się śmiałkowie, którzy rękami odrywali okiennice i kijami tłukli szyby. Rozlega się komenda i znów gramy marsza; naraz wstrząsnął nami brzęk szyb, lecących pod atakiem kamieni. Źle będzie z nami, myślę sobie, jak nam się tu jeszcze co oberwie. Policyanci, otaczający nas dla ochrony przed ściskiem, nawoływali niby do porządku, tak krzyczeli nawet i bębnili pięściami po karkach i plecach, że się aż po sąsiednich ulicach rozlegało, ale cóż to mogło pomódz, kiedy oni sami cieszyli się i śmiali po cichu.

Nie zatrzymujemy się ani chwili, idziemy ciągle szybko naprzód, wśród nieustannego bąbardowania okien. Z temiż salwami przelatujemy przez Rynek; na placu Trzeciego Maja zagraliśmy: „Jeszcze Polska nie zginęła“ i, „Boże coś Polskę“ wyrwało się ze wszystkich piersi; na chwilę zapanował spokój, falowanie tłumu ustało, wszystkie głowy się odkryły i popłynęła przed Tron Boży z pieśnią modlitwa tysięcy. Tu można było poznać, jak każdy umiłował tę Ojczyznę, jak pragnął jej politycznego bytu. I została dodana jedna więcej cegiełka do modlitw przed Tronem Bożym o przywrócenie tej ukochanej Polsce jej dawnej świetności, potęgi i chwały.

Wychowanek.

Listy ks. A. R.

(Dokończenie listu z dnia 6 maja 1897 r.)

Pytacie się co słychać z tymi, którzy z waszej wioski do Ameryki wyjechali? Pojadę wnet do Kurotyby do księdza biskupa, to się o nich dowiem.

A może też później pojadę kiedy i na kolonię Prudentopolis, to wam wtenczas napiszę, jak tam u nich jest. Dotychczas dowiedziałem się od polskich furmanów, którzy w tamte strony jeżdżą (około 18 mil od Ponta-Grossa) tylko tyle, że była tam ogromna bieda. Ludzie marli tam bardzo licznie, marnieli z głodu, zaduchu i tyfusu; padali jak muchy po drodze! Matki dzieci suknią swą zakrywały, aby je choć cokolwiek od zimna zasłonić i ogrzać. Wielu też, pracujących przy ścinaniu lasów, drzewo pozabijało. Niektórzy z Polaków, mieszkających na tej najświeższej kolonii, mówią że mnie znają, nie wiem tylko skąd.

Jedni z nich, mianowicie biedniejsi, tak wielką nędzę i głód tam cierpieli, że się aż z litości i żalu nad nimi na płacz zbierało. Drudzy zaś co przyszli z pieniądzmi, — a było takich wielu — jedli, pili i używali sobie, dopóki wszystkiego nie przepili; płacili, po 5 milrejsów za butelkę wina i dlatego założono dużo już tam wend czyli karczem, a kościoła jeszcze ani jednego nie ma. Tacy to już są ci ludzie nasi, pośmiewiskiem u obcych dla pijatyk, bijatyk i głupoty, bo tu Brazylianie tak nie piją; pijanego Brazylianina nigdzie nie ujrzy, a nasi po rowach leżeli — mężczyźni i kobiety...

W Ponta-Grossa takiej biedy nie było jak w Prudentopolis, bo rząd brazylijski dawał na utrzymanie dla każdej rodziny, ale i tu woleli też pić niejedni, niż zaoszczędzić sobie cokolwiek pieniędzy. Teraz dopiero przyszli do rozumu i już nie piją, chyba tak jak i u was, przy jakiej sposobności np. na chrzcinach, zabawie i t. p.

Żebyście wiedzieli jakie o Polakach mają Brazylianie pojęcie, opowiem wam tu jeden wypadek. Kiedy przy poświęceniu kamienia węgielnego pod nowy kościół polski zacząłem do ludu przemowę a Polacy płakali, wtedy Brazylianie, nie wiedząc o co chodzi, poczęli się śmiać. A gdy było ślubowanie od „kaszasu“, (słowo brazylijskie, znaczy po polsku wódka), to Brazylianie jeszcze bardziej się śmiali i mówili sobie: „Po co im ten ksiądz o kaszasie wspomina? Zapewne jak się ta ceremonia skończy, to ksiądz będzie rozdawał zebranym wódkę, a wszyscy będą pić; może u nich jest taki zwyczaj, kto ich tam wie?...“ A panie i inne kobiety brazylijskie zaczęły mówić jedna do drugiej: „żeby to choć wino rozdawali gościom, to jeszczeby warto było dłużej tutaj pozostać, ale z wódką to nie ma co robić!“ I nuż niektóre uciekać. Ale drudzy czekali dalej ciekawi, czem się to wszystko skończy, a co chwila oglądali się w koło, czy z którego sklepu wódki po tej uroczystości nie wyniosą przed kościół. Kiedy się potem dowiedzieli, że to były śluby wstrzemięźliwości od wódki, było z tego śmiechu niemało; sami Brazylianie śmiali się z siebie, lecz to daje nam świadectwo, jak obcy o nas myślą i sądzą.

Na pytanie więc, jak się tu naszym rodakom powodzi, ja taką mniej więcej dałbym odpowiedź: kto pracuje, ten ma pieniądze i dobrze mu tu jest a kto próżniak, ten nigdzie nic nie będzie miał! Kto tam w Europie nie ma ani kawałka ziemi a ciągle jak wół roboczy pracuje, ten tutaj może się wkrótce czegoś dorobić i dobrze mu potem będzie, ale z początku bieda go się naje. Kto zaś ma jaki kawałek ziemi, ten lepiej niech zostanie w domu. Albowiem dla biednego, który nic nie ma, wszystko jest jedno; czy tu, czy tam, wszędzie pracować porządnie trzeba i nieodstępny zawsze od ubóstw niedostatek musi znosić. Tymczasem, miejsca wolnego do pracy na roli jest tutaj dosyć. Ale, gdyby kto miał tam grunt swój sprzedać, by przyjść tu za morze cudzego szukać, to lepiej, żeby się w czasie podróży w morzu utopił. Bo gdy tu przyjdzie, to się z nikim nie rozmówi i sam sobie pracy nie poszuka a więc będzie próżnował, jadł i pił za resztę grosza, jaki mu jeszcze ze sprzedaży ojcowizny pozostał, aż nareszcie ten sam, co był w Polsce trzeźwym i uczciwym człowiekiem, tutaj stanie się obrzydłym, nałogowym pijakiem. Nasi gdy mają pieniądze, tu nie umieją zarabiać, z biedy do lepszego bytu bez pieniędzy się wybić też nie potrafią; przy pieniądzach w biedę wpaść, to prędzej!

Ciekawi jesteście, czy są tu jakie owady dokuczliwe? Są muchy takie same, jak w Europie i u Was w Galicyi. Ale tak dokuczliwych owadów, jakie są gdzieindziej w Brazylii, w Ponta-Grossa nie ma; gdyż miasto to jest jeszcze jednem z najzdrowszych miejsc w kraju, położone na wzgórzu ma powietrze więcej górskie a więc chłodniej tu i wietrzniej, niż gdzieindziej. Mimo to, są tu pchły piaskowe, tak małe, że z trudnością można je zobaczyć, które lubią włazić ludziom pod paznokcie i gdy jedna z takich pcheł do ciała ludzkiego się dostanie, to tam się szybko i bardzo licznie rozmnaża, całe gniazdo swe w niem zakładając tak, iż w krótkim czasie może nawylot dziurę w palcu zrobić. Lecz z tem strachu wielkiego nie ma, bo kiedy się człowiek spostrzeże po swędzeniu ogromnem i dokuczliwem, iż nieproszeni goście w ciele jego mieszkanie sobie założyli, wyjmuje taką pchłę wraz z gniazdem całem i już po bólu. Ale gorszymi od pcheł są tu pewne robaki, podobne do tych pędraków, co to u nas za skórę krowie włażą, tylko, że te w ludzkie ciało się wpijają. Od nich to ból ogromny bo mają grzbiet taki, iż ból od tego robaka, kiedy się w ciało wierci tak jest dokuczliwym i przykrym, jakby od rznięcia sierpem. Ale tych w Ponta-Grossa nie ma.

(D. n.)

Ofiary na cele naszego Towarzystwa złożyli:

Ks. Sanokowski 5 złr. p. Polańska 2 złr., p. Rysz 1 złr., ks. Jan Trzopiński 2 złr., p. Bazyli Dering 80 ct., p. Jan Jerzemski 10 mrk., p. Ant. Komyschke 2 mrk. 50 fen., p. Walter 2 mrk. 50 fen., p Kotlewski 10 mrk., pan Machała 100 złr., pan Herok 65 złr., p. Mihułka 110 złr., pan Jakób Cużytek 62·70 złr., pan Kutowski 100 mrk., ks. Jan Sękowski 2 złr., Wydział powiatowy w Turce 15 złr., Kasa Zaliczkowa w Nowym Sączu 10 złr., Magistrat m. Chrzanowa 10 złr., p. Fr. Hornik 11 mrk., p. Dudymska 50 ct., p. Buchta 20 mrk., p. Marya Pietrzkiewicz 10 złr., ks. Proboszcz Żegleń 10 mszy św. ks. Proboszcz St. Januszkiewicz 15 mszy św., p. Jan Trzecieski 15 złr., pan Karol Kilar 2 złr., pan Antoni Hointza 10 mrk., p. Tatara 1 mrk., p. Józefa Burczyk 1 mrk., pan Szczepan Warzecha 1 mrk., pan Jagiela 1 mrk., p. Jan Zboroń 5 mrk., pan Henryk Juraszek 1 mrk., p. Antoni Hointza 7 mrk., N. N. 5 mrk., pani Karolina Wróblewska 1 złr., N. N. 2 mrk., Towarzystwo Zaliczkowe w Rymanowie 25 złr., Wydział powiatowy w Jarosławiu 25 złr., ks. Kasper Mazur 7·50 złr., p. Fr. Nowak 1 mrk., p. Fr. Cebula 1 mrk., p. W. Cura 1 mrk., p. Rozkosz 1 mrk., p. I. Czerniak 1 mrk., p. Wieczorek 50 fen. p. W. Piechaczek 1 mrk., p. Niegolla 1 mrk., p. Lemka 1 mrk., p. Klimas 1 mrk., p. Ploszczonka 1 mrk., p. I. Cebula 1 mrk., p. T. Lemka 3 mrk., p. Wilczek 1 mrk., p. Tałura 1 mrk., pan Kubiczek 50 fen., ksiądz Proboszcz Leopold Fleiszer 3 złr., pani Szymanowska 10 złr., p. Raciborska 5 złr., p. Sabina Bylinianka 10 złr., pani Franciszka Kaszycka 6 złr., p. Franciszek Stach 5 mrk., p. Józefa Szubert 11 mrk., pan Leopold Kierszniak 15 mrk., pan Ludwik Liduch 10 mrk., p. Mateusz Guże 3 mrk., p. Anna Kucharczyk 2 mrk., pani Karolina Regel 1 mrk., p. Anna Tkacz 1 mrk., p. Agnieszka Kruszyńska 1 mrk., pan M. Białasik 1 mrk., p. Małgorzata Pakuła 1 mrk., pan A. Korzeniec 50 fen., p. Marya Burczyk 50 fen., pan Karol Drazga 50 fen., p. Mateusz Lange 1 mrk., p. Karolina Kyjotek 1 mrk., p. Agnieszka Sznajder 1 mrk., p. Agnieszka Mande 50 fen., p. Joanna Kaleka 60 fen., pan Kulanek 50 fen., pan P. Boczek 50 fen., pani Marya Lanycka 50 fen., p. Franciszka Zrzeła 50 fen., p. Józefa Kołaczek 1 mrk. ks. Dr. Jan Siemieński 20 mszy św., pan. Z. Szeliga 1 mrk., pan P. Jendreczko 1 mrk., pan C. Panicz 50 fen., p. Jan Garniak 1 mrk., pan Barbara Kurpiesz 50 fen., pan E. Gojet 1 mrk., p. J. Zwartek 1. mrk., p. J. Klasik 50 fen., p. Józefa Drezga 50 fen., p. Franciszka Sznajder 1 mrk., N. N. 50 fen., p. Antoni Grabara 20 mrk., p. F. Grabara 3 mrk., O. Mikołaj Szajna 2 złr., pan Błażej Kilar, 1·50 złr., ksiądz Fiema 10 mszy św., ksiądz Łukasik 14 mszy św., ksiądz kanonik Karpiński 10 mszy świętych.

P. T. Członkom i Dobrodziejom Towarzystwa naszego niech Pan Jezus zapłaci stokrotnie w tem życiu i drugiem za złożone ofiary.

Nakładem ks. Bronisława Markiewicza w Miejscu Piastowem. — Za redakcyę odpowiedzialny Wojciech Lenik.

Drukiem W. Lenika w Krośnie.